WYPRAWA PO ŚMIERĆ

Radosław Lewandowski

WYPRAWA PO ŚMIERĆ

Płock 2020

Osądźcie tę opowieść swoim rozumem. Proszę tylko, byście dotrwali do końca. To ważne, bowiem tylko wtedy dane wam będzie pojąć niebezpieczeństwo grożące całej ludzkości. A wierzajcie mi, musicie stoczyć straszny bój o przyszłość tego świata, Waszego świata! Czas nie ma tu znaczenia.

Konrad

Współcześnie, pół roku przed wyprawą na Islandię

Było bardzo gorąco, dobre trzydzieści pięć, czterdzieści stopni. Dwie pochylone sylwetki z coraz większym trudem wspinały się wąską, wyciętą w zalesionym stoku ścieżką. Jej ściany stanowiły pokręcone konary, które wyglądały miejscami niczym węzły mięśni śpiącego olbrzyma. A wszystko osnute jedwabnym, przyćmiewającym piekący blask słońca welonem.

– Strasznie tu – dziewczyna pokazała na oplecione pajęczynami liście i gałęzie. – Jakbyśmy wędrowali przez zaczarowany las. Pamiętasz, u Tolkiena…

– Wiesz, że nie lubię robactwa. Robisz to specjalnie? – Jej towarzysz starł z obrzydzeniem z twarzy kolejny fragment sieci. – Na szczęście te są małe.

To był sierpień, jeden z dwóch miesięcy, gdy miliony młodych australijskich pająków migrowały niesione wiatrem, wypuszczając służące im za żagiel kawałki przędzy. Wiedzieli, że mogą trafić na coś takiego – „anielski włos" występuje i w Polsce, ale nikt nie spodziewał się tuneli jak z kiepskiego horroru!

– Te są niegroźne, czytałem w przewodniku. Ale taki redbak? Atakuje rocznie dwa tysiące osób! – Wzdrygnął się mimowolnie.

– Ty i ta twoja wyobraźnia. To ja powinnam się bać a nie mój obrońca – prychnęła z udawaną pogardą. – Poza tym, ostatnia ofiara pająków zmarła na tym kontynencie ponad trzydzieści lat temu.

– Tak, a ja jestem Speedy Gonzales. Pewnie, że się tym nie chwalą a dolary i euro płyną od turystów rzeką. Kto psułby taki biznes? Zresztą, mogę nie lubić robactwa? Pozwolisz?

– Dobrze już dobrze. Odpocznijmy – dziewczyna nabrała głęboko powietrza. – Prawie słyszę skrzypienie moich maltretowanych stawów. A łydki… Wieczorem kochanie, w ramach przeprosin, zrobisz mi masaż.

– Jakich prze… – spojrzał na nią i widząc błysk białych zębów, machnął ręką. Znowu dał się nabrać. – Usiądziemy, ale wolałbym wydostać się z tych… tfu, sieci – kawałek pajęczej przędzy wpadł mu do ust i kilka chwil słychać było tylko parskanie. – Sama widzisz, jak żyć? Na dodatek mam wrażenie, że w pewnym momencie potężne odnóża rozsuną gałęzie i usłyszymy klekotanie pancerza… – z czułością zdjęła mu z włosów zamglony liść.

– No już dobrze, odpoczniemy wyżej.

Dogodne miejsce znaleźli dwadzieścia minut później i jakby w innym świecie. Pajęczyny niemal zniknęły i z nieba znowu zaczął lać się bezlitosny żar, ale niskie pokręcone drzewa, dawały nieco cienia. Usiedli ciężko na korzeniu, który kształtem przypominał jedno z ramion wynurzającego się z odmętów krakena.

– Przypominam, że chciałeś iść w klapkach – szturchnęła go łokciem, pokazując wyboiste podłoże.

– Daj spokój, w Australii w klapkach? Ja w ogóle nie miałem zamiaru wchodzić na tę cholerną górę, ale ty byś mi wywierciła dziurę w brzuchu. Zawsze musisz wszystkiego dotknąć i spróbować. Choćby miał to być wędzony psi łeb, czy małpie oko. – Skrzywił się na samo wspomnienie wędrówki po wiejskich bazarach Wietnamu.

– Taka ci się spodobałam. Chcesz mnie zdenerwować? Kochanie, naprawdę tego chcesz? – Ostatnie zdanie wymówiła niewinnym słodziutkim głosikiem, bardziej pasującym do słodkiej Barbie, niż młodej podróżniczki, która z niejednego pieca jadła już chleb.

– No coś ty, a wyglądam na samobójcę?

– Na samobójcę to może nie, ale na gościa, który wróci na piechotę do Brisbane. Samochód z wypożyczalni jest na mnie.

– Nie zrobisz mi tego!

– Przekonamy się?

Roześmieli się swobodnie. Po długich miesiącach wspólnej wędrówki jednego czego byli pewni, to że im ze sobą dobrze. Tak po prostu. Dogadywali się planując kolejne etapy eskapady, uśmiechali się do siebie milcząc, nawet w żartach i docinkach więcej było czułości niż zadr. Czego można chcieć więcej?

– A tak poważnie – zdjął z buta oplątany pajęczyną liść – idziemy już dobre dwie godziny i pewnie drugie tyle przed nami. Trzeba jeszcze zejść… i wrócić do miasta. Cholernie mało czasu nam zostanie, tam, na górze.

– Wiesz, mnie to przypomina wypad w nasze Bieszczady – jakby nie słyszała tego ostatniego zdania.- Gdyby nie słońce i duchota, czułabym się prawie jak w domu.

– A pająki?

– Fakt, ale reszta jest podobna.

– Ale tu wszystko inaczej pachnie, nawet powietrze smakuje jakoś tak… słodko. Patrz! – Szary pagórek pomiędzy drzewami, podniósł się nagle, za nim kolejny i jeszcze jeden. W kilka chwil całe stado górskich kangurów zniknęło w plątaninie drzew i korzeni.

– Były tak blisko, a ja nic…

– Dobrze, że nie jedzą ludzi – zażartował, ale serce waliło mu w piersi dziwnie mocno. – Jesteśmy tak upośledzeni przez naturę, że sam nie wiem jak to się stało, że przetrwaliśmy te tysiące lat.

– Ale masz to – postukała go w czoło.

– Myślisz o bliźnie…

– Nie, o pustce między uszami.

– No – udał naburmuszonego. – Ale tym trudniej będzie mnie zabić, gdyby ktoś strzelił w głowę. – Gwałtownie złapał dziewczynę i przyciągnął do siebie. Pocałunek był już delikatny.

– Ale gorąco. Daj… daj się napić – mruknęła przez zasłonę włosów. Zwiesiła głowę i przez kilka chwil toczyła bezskuteczną walkę z zaplątanymi w nie drobinami, by w końcu dać spokój. – To musi poczekać – westchnęła.

Mężczyzna wyciągnął z plecaka, napełnioną w połowie butelkę niegazowanej mineralnej.

– Reszta?

– W samochodzie mamy więcej, ale…

– Auto u stóp wulkanu – dokończyła za niego.

– Jakoś tak – wzruszył ramionami. – Może lepiej wracajmy?

– Muszę tam wejść, a ty, chyba mnie nie porzucisz na pastwę dzikich psów dingo i krwiożerczych kangurów, nie wspominając o pająkach gigantach? – Zaśmiała się oddając mu butelkę.

– No co ty, sam cię schrupię – tym razem pocałunek trwał długo. Na kilka chwil, znaleźli się w odgrodzonej od świata bańce. Zniknęły odgłosy lasu, zastąpione rwanymi oddechami i lekko cierpkim smakiem ust. Ugryzła go delikatnie, przerywając ten czar. Etap docierania mieli już dawno za sobą. Teraz czekały ich dwie drogi: dłuższa – zwana życiem we dwoje, lub krótsza, burzliwa – prowadząca do zatarcia mechanizmu. Zresztą, przed wyjazdem do Australii zorganizowali spotkanie rodziców, by oswoić tygrysy z lwami. Głównie z myślą o zakomunikowaniu im po powrocie decyzji o ślubie.

– Idziemy, bo nie zdążymy zejść przed nocą – Maja wstała czując, jak powraca ból w nadwyrężonych łydkach.

– To już nie chcesz zobaczyć wschodu Słońca? Jako pierwsza w Australii?

– Wiesz, ode chciało mi się czekać tam do rana. Poza tym, mój bodyguard zabrał tylko jedną butelkę wody i nie pomyślał o kocu.

– Ale jestem tu z tobą Majka. Rozpalimy ognisko, przykryjemy się liśćmi… – Pacnęła go delikatnie w czoło. – Jak słyszę, odpoczęłaś.

W tym momencie do ich uszu doszedł dziwny warkotliwy, to nasilający się to znów zanikający dźwięk.

– Co… – dziewczyna przekrzywiła głowę i zaczęła nasłuchiwać. – Słyszysz?

– Jakby setki ptaków zrywały się z plaży, albo, bo ja wiem, szarańcza?

– Stałeś kiedyś pod chmurą szarańczy?

– Nie – wzruszył ramionami trochę zakłopotany – ale tak to sobie wyobra…

– Chodźmy, sprawdzimy – przerwała.

– Daj spokój Majka, trzymajmy się szlaku. To nie te twoje cholerne Bieszczady. – Ale mówił już do jej znikających pleców.

Po kilku minutach wspinaczki i przedzierania się przez splątane korzenie, stanęli jak wryci. Wyszli niemal na skraj ogromnej skalnej półki i nie byli tu sami. Konrad pociągnął dziewczynę za T-shirt nim z rozpędu wyszła na odsłonięty teren. Przykucnęli.

Na ogołoconym z roślinności placu, stały dwie grupki Aborygenów. Bardziej liczna i składająca się ze starszych mężczyzna, dreptała w wyznaczonym kamieniami okręgu. Wyglądali, jakby byli w transie. Polacy patrzyli z szeroko otwartymi oczami, bowiem tubylcy mieli na sobie jedynie plecione ze sznurków przepaski biodrowe. Resztę ciała, ozdabiały malowane białą farbą linie.

– Przenieśliśmy się w czasie, czy co? – mruknął Konrad.

– Cśśś.

Z większego kręgu do mniejszego, w którym przebywało trzech zupełnie nagich chłopców, prowadziła wytyczona również kamieniami ścieżka. Na niej stała najdziwniejsza postać, jaką dane było im kiedykolwiek widzieć. Siwą sterczącą na wszystkie strony brodę, twarz i całe ciało aborygena, przecinały regularne białe i czerwone pasy, tworząc na piersiach znak V. Zwisające w okolicy genitaliów frędzle były jakby misterniej tkane, a na szyi kołysały się naszyjniki z kłów jakichś zwierząt. I to on przy pomocy przymocowanego do długiego rzemienia kawałka drewna, wydawał ten dziwny warkotliwy dźwięk, który ich tutaj sprowadził. Kręcił nim nad głową, cały czas stojąc tylko na jednej nodze. W drugiej ręce trzymał wspartą o grunt laskę.

Młodzi, nadzy chłopcy bujając się rytmicznie, klęczeli ze zwieszonymi głowami. Nieopodal stały gliniane miseczki z białym barwnikiem, ale ciała młodzieńców były czyste.

– To chyba jakaś inicjacja – szepnęła Majka. – Czytałam, że kiedyś była ona krwawa i bardzo bolesna. Ci tam – wskazała brodą na młodzieńców – nie wyglądają na cierpiących.

Nagle warkotliwy dźwięk instrumentu zmienił ton, by ucichnąć i szaman otworzył oczy. Patrzył wprost na krzak, za którym ukryli się Polacy. Wydał jakiś gardłowy okrzyk i w grupie dorosłych zaszumiało. Kilku niemal bezszelestnie zniknęło w gęstwinie, reszta wyraźnie rozsierdzona przerwaniem obrzędów, przestępowała z nogi na nogę.

– Spadajmy – Konrad położył towarzyszce dłoń na ramieniu, ale było za późno. Z kierunku z którego przyszli, doszedł ich hałas a potem ujrzeli wyłaniające się z pomiędzy liści upiornie wyglądające w półcieniach niskich drzew, sylwetki miejscowych wojowników.

– To tyle z ukrywania się, ale… chyba nas nie zjedzą – próbował żartować, choć w gardle zrobiło się mu nagle dziwnie sucho. Od strony tubylców dochodziły coraz bardziej gniewne głosy.

Aborygeni zaczęli poszturchiwać ich zaostrzonymi kijami tak, iż chcąc nie chcąc, weszli na skalną półkę. Na rozkaz brodacza, zamarli. Scena wyglądała niczym wyjęte z podręczników do historii, pierwsze spotkanie z białym człowiekiem i byłoby śmiesznie, gdyby nie było tak strasznie. Miejscowi wcale nie wyglądali na rozbawionych.

Szaman, cały czas pozostając w bezruchu, odezwał się po angielsku, zataczając laską wielkie koło. – W myśl umowy z rządem, to święta góra ludu

Bundjalung, mamy zgodę na dokonanie inicjacji. – Te cywilizowane słowa, bardziej pasowałyby do prawnika niż dzikiego, którego mieli przed oczami.

– My tylko – Majka głośno przełknęła ślinę – szliśmy szlakiem na górę i te dźwięki…

– Przeszkodziliście w świętym obrzędzie – nie dał jej dokończyć szaman. – Tu wszędzie – pokazał na zbocza wulkanu – są duchy naszych zranionych wojowników, szczeliny w skałach to ślady tych ran, a burze to odgłosy toczonych przez nich bitew. Głos który was przywiódł, to dźwięki mające sprowadzić do nas z niebios wielkiego Baiame, Ojca Wszystkich Rzeczy.

Mężczyzna ostrożnie postawił drugą stopę na ziemi, odłożył instrument i ruszył w ich stronę. Teraz mogli zobaczyć, że w okolicy pępka jego brzuch pokrywa mnóstwo białych kropek.

– Mam na imię Mowaldiali – niespodziewanie wyciągnął dłoń w stronę Konrada. – Jestem kurrijees czyli szamanem lub Bystrym Facetem ludu Bundjalung. A tak w ogóle, prowadzę sklep. – Uśmiechnął się zaraźliwie.

– Konrad, z Polski.

Brodacz potrząsnął ręką turysty tak energicznie, jakby zamierzał urwać sobie ją na pamiątkę i dołączyć do wiszących na szyi trofeów.

– Nie wiem gdzie to jest, ale no wakkas, może nawet ujdziecie z tego spotkania z życiem – jego śmiech był zaraźliwy. – A ty dziewczyno…?

– Maja.

Gdy szaman dotknął dłoni młodej kobiety, jego ciałem wstrząsnęły dreszcze a uśmiech zniknął z brodatego oblicza. W pewnym momencie gałki oczne mężczyzny poleciały do góry i młodzi Polacy zobaczyli białka, poznaczone czerwonymi nitkami żyłek. Zachwiał się, jakby pod wpływem silnego porywu wiatru, ciężkie powieki opadły niwelując wrażenie, iż mają do czynienia z filmowym zombie. Gdy się uniosły, odetchnęli z ulgą bowiem znowu patrzył na nich nieco ekscentryczny, co musieli przyznać, miejscowy sklepikarz. Jednak w tym spojrzeniu ciemnoorzechowych oczu, czaił się bezbrzeżny smutek.

– Nie mogę ci pomóc dziecko – głos jakby z trudem wychodził mu z gardła – zły duch jest zbyt potężny i sprowadziła go Mulu-kuranti. Nawet ktoś taki jak ja, nie da rady. Kiedyś, na tych ziemiach żyli potężni kurrijees, ale chyba nawet oni… – jego głos cichł z każdym słowem.

– O co cho…

– Idzie już – wyszeptał ochryple Aborygen. – Wracajcie na szlak.

– Tak zrobimy – Konrad z sykiem, wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Nawet nie zauważył, że ok kilku chwil stoi na wdechu. – Jeszcze raz przepraszamy, nie chcieliśmy zakłócić…

Szaman uniósł nagle obydwie ręce, przerywając mu w pół słowa. Cały czas patrzył na Maję, jakby jej towarzysza tu nie było.

Jeszcze się spotkamy – powiedział smutno. – Nie jesteś z pierwszych ludzi i będzie ci tu źle, ale… – wykonał jakiś dziwny znak w powietrzu i odwrócił się w stronę swoich. Ci tubylcy, którzy stali im na drodze, rozstąpili się w milczeniu.

Ciągle czuli gęsią skórkę na plecach w miejscach, gdzie niedawno kuły ich zaostrzone kije, więc nie ociągając się, zwyczajnie uciekli.

– Zrobiłeś chociaż z jedno zdjęcie? – Majka chwyciła dłoń Konrada gdy zatrzymali się na wypełnionej słońcem ścieżce. Niedawny strach zdawał się w tym blasku ledwie przywidzeniem.

– No coś ty, żeby mnie zakopali po szyję w mrowisku?

– Przecież tu wszędzie kamień…

– No właśnie, po szyję w kamiennym mrowisku?

Zmierzwiła mu włosy. – Trochę szkoda, jestem pewna że od dawna żaden biały nie widział takiej ceremonii. Już choćby dlatego, warto było się wspinać na ten wulkan, co Konrad? – Na twarzy dziewczyny gościł uśmiech, jaki musieli mieć na wąsatych obliczach hiszpańscy konkwistadorzy, na widok inkaskiego złota.

– A co on z tym spotkaniem? Słyszałeś co mówił ten szaman-sklepikarz? – poprawiła niewielki plecak i rozpoczęła dalszą wspinaczkę.

– Pewnie będzie czekał na dole z workiem plastikowych kłów i papierowych bumerangów. Pilnuj portfela, nie zostało nam dużo kasy – ruszył w jej ślady, po raz nie wiadomo który podziwiając długie opalone nogi swojej dziewczyny.

– Widzisz, ze mną nie można się nudzić – mówiąc to, potknęła się o korzeń omal nie lądując twarzą w poszyciu.

– Tak, szczególnie jak będę cię musiał nieść z powrotem. Patrz pod nogi, dziewczyno.

– W zasadzie, to już teraz mógłbyś zacząć ćwiczyć – odwróciła się do niego ze śmiechem. To co, na barana?

Pomimo tych radosnych przekomarzań, jeszcze kilkanaście minut po wejściu na szlak, oglądali się za siebie jakby wypatrując pogoni. W zasadzie, to bardziej udawali niż czuli wesołość. Na szczęście cuda przyrody i zmęczenie wspinaczką, skierowały ich myśli na inne tory.

– To przypomnij mi, dlaczego poświęcamy cały dzień, żeby… wspiąć się… na jakąś cholerną górę? – Konrad sapał, coraz bardziej żałując, że dał się namówić na eskapadę. W pewnym momencie weszli na jedną z przystosowanych dla helikopterów platform, których kilka rozmieszczono na zboczach góry Mount Warning, a właściwie wulkanu w górach Tweet Range w Nowej Południowej Walii. Fakt, iż tu w ogóle były świadczył, iż wspinaczka na szczyt to nie spacerek. Pewnie nie raz śmigłowce zabierały ze zbocza turystów ze zwichnięciami lub złamaniami.

– Dla natury? – zatoczyła ręką koło, wskazując na gęstą roślinność. – A wiesz, że nazwę nadał temu miejscu sam James Cook?

– Było coś o tym, na tablicy informacyjnej – mruknął. – Szkoda tylko, że zabrakło tam ostrzeżenia „Pod żadnym pozorem nie podejmować wspinaczki w towarzystwie ciekawskiej dziewczyny!".

Zdawała się nie słyszeć kąśliwej końcówki.

– Aborygeni zwali górę Wollumbim, co należy tłumaczyć jako Łapacz Chmur lub Stwórca Pogody – jakby to było to samo. Ale oni, co mieliśmy okazję zobaczyć a mój obrotny chłopak nie zrobił nawet jednego zdjęcia… to naprawdę specyficzny i nieprzewidywalny ludek.

– Czy ty zawsze musisz się odgryźć?

– Nie zaczepiaj dobry człowieku, to będzie mniej bolało.

Resztę drogi przeszli już w milczeniu, z trudem łapiąc oddech. Końcówka była iście mordercza. By wdrapać się na szczyt, musieli wspiąć się po stromym gołoborzu. Gdyby nie specjalne łańcuchy, zakończyłoby się to co najmniej kilkoma siniakami i otarciami.

Po dotarciu na szczyt, obydwoje padli na okoloną barierkami metalową kratownicę. Musiało to wyglądać komicznie, ale mieli to gdzieś. Dwójka siedzących na ławeczce starszych turystów, uśmiechnęła się do nich życzliwie.

– G´day.

– G´day – odpowiedzieli niemal jednocześnie w przerwie między łapczywymi haustami. Powietrze było czyste, tylko ten nieznośny upał…

– Wspaniałe pajęcze tunele, prawda? Rzadko można je tu spotkać, mieliśmy szczęście – mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, udawał że otrzepuje się z pająków. – A słyszeliście po drodze odgłos bullroarera?

– Daj spokój Rob, widzisz że ledwie zipią. – Jego towarzyszka puściła do Mai oko. – Mój Rob to straszny gaduła, nikomu nie przepuści. Lepiej z nim kochana nie zaczynać.

– Kto tu więcej mówi? No kto? Ja tylko jedno zdanie, a ty…

Młodzi nie słuchali tej przyjacielskiej sprzeczki, ruszyli na nieco sztywnych nogach w przeciwny kąt platformy.

– Chciałbym tak się zestarzeć – Maja ruchem głowy wskazała Australijczyków.

– Nie są jeszcze starzy…

– Wiesz o co mi chodzi.

W dole roztaczał się piękny widok zalesionych pagórków, zwieńczony w oddali kołnierzem błyszczącego oceanu. Pojedyncze oko sporego jeziora, z tej odległości przywodziło na myśl okno podziemnego świata.

– Warto było – mruknęła zachwycona, opierając głowę na jego ramieniu. – Gdybyś dokonał tej sztuki w klapkach, do końca świata mówiłabym na ciebie „miszczu".

– To był tylko żart, nie musisz się naśmiewać – przez chwilę udawał obrażonego. – Szedłbym niczym ci pierwsi Europejczycy, kilka dni.

– Po drodze, mógłbyś założyć przejściowy obóz i pogrzebać w ziemi w poszukiwaniu tych swoich artefaktów – błysnęła białymi zębami.

– Ile razy mam ci powtarzać, że specjalizuję się we wczesnym średniowieczu a nie prehistorii? A torbacze olbrzymie, które żyły na tym kontynencie kilkadziesiąt tysięcy lat temu, to temat dla paleontologa.

– Bla bla bla. A co za różnica, stare to stare – dała mu kuksańca. Droczyła się i wiedział o tym. Podrażnione męskie ego, wymagało jednak riposty.

– To tak, jakby na tej twojej sinologii, zrobili egzamin z języka japońskiego. Niby podobne, ale…

– Jeśli chiński jest podobny do japońskiego, to ja jestem miss Azji.

– Czemu nie? Nic ci nie brakuje, może poza cerą, kolorem włosów i wzrostem a raczej jego nadmiarem. Azjatki nie należą do najwyższych. Pamiętasz wioskę w której byliśmy atrakcją turystyczną i miejscowi chcieli robić zdjęcia? Fota z parą „gigantów", to prawie jak strzelić zdjęcie Yeti.

– W Wietnamie. Kurcze, fajnie było. Dziwię się tylko, że ty to zapamiętałeś, bo potem zaprosili nas na wesele z całym morzem wina ryżowego.

– Ba, jak każdy chciał się napić z Wielką Stopą, to co, miałem odmawiać i zrazić do siebie gospodarzy? Byliśmy tam ambasadorami polskości, a my i Rosjanie znani jesteśmy z mocnych głów.

– Powiedział co wiedział. Ty i mocna głowa. Ale wiesz co, mnie się wydawało, że podobało ci się bycie gwiazdą wieczoru.

– Spadającą.

– Chyba upadającą.

Przez dłuższą chwilę milczeli, uśmiechając się do swoich myśli, pełnych żywych wspomnień z szalonej eskapady po krajach Azji i Oceanii.

– Niedługo wracamy, szkoda – dziewczyna westchnęła.

– No przecież sama wcześniej mówiłaś, że noce są tu zimne…

– Nie o to mi chodzi płytki facecie. Dziekanka się kończy i wracamy do Polski.

– Aaa to – jemu też błogi uśmiech spełzł z twarzy, jak zawsze, gdy wchodząc do kuchni, poczuł smród gotowanych jajek. Nie znosił jajek. – Fajnie było, kilka miechów włóczęgi naszym starym wielorybem po interiorze. Bez klimy, tylko we dwoje. Takie coś pamięta się do końca życia.

– No, jak i muszki wchodzące gdzie się da. Nie wiedziałam, że są ich w Australii takie chmary.

– Ja też. Cieszyłem się, że mam spodnie na tyłku, bo…

– Świntuch.

– Ale co, nie mówię prawdy? Bałaś się otworzyć buzię, by nie zagarnąć kilku przy okazji.

– Konrad!

– No dobra, ale tak naprawdę, to można się przyzwyczaić. Miejscowym nie przeszkadzają. Jakby ich nie było.

– Jak i do skorpionów włażących na postoju do samochodu?

– Przecież wiesz, że tu wszystko zabija: w przybrzeżnych wodach rekiny-ludojady, w rzekach i na bagnach największe na świecie krokodyle, w lasach najbardziej jadowite żmije, pająki, skorpiony i co tam chcesz. Aha, i jeszcze krwiożerczy Aborygeni.

– Ale są i plusy – wskazała brodą widoki.

– Wiesz Majka, dobrze mi z tobą – zmienił nagle temat. – Przed naszą wyprawą zastanawiałem się, czy zwyczajnie nam się nie znudzi? To w końcu dzień w dzień, noc w noc razem. Spaliśmy w przerobionym kąbiaku na pustyni, w krzakach, czasem na parkingu jak dobrze poszło. Nie mów, że ty nie myślałaś podobnie.

– Co cię naszło kochanie, chyba nie chcesz się oświadczać? Tu, w najdziwniejszym miejscu jakie można sobie wymyślić?

– Znam dziwniejsze. Ale nie, mówię tylko, że mi z tobą dobrze – wycofał się nieco. Nie po raz pierwszy dochodził do wniosku, że kobiety mają w sobie coś

z czarownic i wieszczek. Nagle poczuł też wagę niewielkiego pudełeczka z pierścionkiem i mimowolnie, pogładził się po kieszeni.

– Ciężar z serca – pocałowała go delikatnie. – Postanowiłam, że nie wyjdę za mąż przed sześćdziesiątką. Dopiero potem wezmę się za rodzenie gromadki dzieci i osiadłe życie. Choć może nie powinnam się tak śpieszyć? Daj wody cny rycerzu, zostało coś jeszcze?

Podał butelkę z chlupoczącym na dnie płynem.

– Wypij i chodźmy, bo nas faktycznie noc zastanie na stoku.

Dwoje Australijczyków pomachało im na pożegnanie – zbierali się do zejścia.

Maja oddała puste naczynie i wspięła się z uśmiechem na niższy z dwóch szczebli barierki. Trwała chwilę z rozłożonymi rękami, niczym Kate Winselt, a Konrad był w tej scenie Leonardem DiCaprio.

– Królowa świata! – krzyknęła radośnie płosząc jakiegoś miejscowego ptaka. – Jestem królową świata! Panią wielkiej góry! – Była w niej jakaś taka dzikość i ciekawość wszystkiego co nowe, inne. Konrad z uśmiechem wspominał, z jakim trudem odwiódł ją od rozcięcia brzucha padłej krowy – chciała zobaczyć, co się wtedy stanie – natknęli się na napęczniałą od gazów, przy niemal bezludnej pustynnej drodze.

Albo spalony wrak samochodu, nieme świadectwo tragicznego wypadku. Stał na poboczu w głębi interioru i o dziwo, przypominał ten, którym podróżowali. Nawet kolor się zgadzał. Uparła się wtedy, że poszukają części do naprawy wieloryba i nie zważała na opasujące pojazd policyjne taśmy. Powstrzymały ją dopiero, ślady krwi na fotelu kierowcy.

Czasem onieśmielała go jej bezpośredniość. Ta wyprawa była jedną wielką szkołą życia. Dla nich obojga.

– Tak kochanie, zgadzam się – spojrzała na niego z góry, po swojemu zmieniając nagle temat.

– Jak to zgadzasz? Przecież ja… Naprawdę?

– Dla pierścionka, który przecież masz w kieszeni. Tylko dla niego – znowu zaśmiała się dziko.

– Uważaj, lepiej… – nie dokończył. Naruszony słońcem i wodą w porach deszczowych spaw, puścił i pręt ogrodzenia pękł pod ciężarem dziewczyny. Zaskoczona straciła równowagę. Zdołała jeszcze odwrócić głowę w stronę Konrada, wyciągnąć rękę… Wyraz jej twarzy, wrył się w jego pamięć niczym rozżarzony

pręt w nagą skórę. Były w nim resztki niedawnego rozmarzenia, zaskoczenie i potworny strach. A może to odbicie jego własnych odczuć?

Skoczył. Koniuszki ich palców zetknęły się na jedną chwilę. Poczuł ciepło, to samo, które jeszcze parę chwil wcześniej…

Spadała kilkadziesiąt metrów, koziołkując po stromym kamienistym zboczu, by zatrzymać się na pniu jakiegoś karłowatego drzewa. Okrzyk zamarł dużo wcześniej, po uderzeniu głową w wielki głaz. Stał chwilę nad przepaścią z wyciągniętą ręką, jakby chciał cofnąć ostatnie sekundy i chwycić dłoń swojej przyjaciółki, kobiety, z którą planował spędzić najbliższe lata, może całe życie. Niewiele zabrakło, by sam skoczył.

Konrad słabo pamiętał tamte godziny. Chyba krzyczał, tak krzyczał aż stracił głos. Potem zszedł na dół i usiadł kładąc delikatnie głowę Mai na kolanach. W świetle ostatnich promieni słońca, wybierał z jej włosów liście i pajęczyny. Jakby to mogło coś zmienić, jakby to miało znaczenie. A właśnie że tak – odrobina normalności w szaleństwie. Zawsze jej pomagał gdy wracali z łazęgi. Teraz krew zlepiała pasma włosów w długie stróżki, ale zdawał się tego nie zauważać.

– Jestem – szeptał co jakiś czas. – Jestem przy tobie.

Nagle, kierując się odruchem, sięgnął drżącymi dłońmi po pierścionek. Z trudem wyjął go z brudnego teraz od krwi etui i nałożył na palec martwej przyjaciółki.

– Kocham cię Maju – wyszeptał łamiącym się głosem. – Wyjdziesz za mnie?

To dziwne, ale zdawało mu się, iż w odpowiedzi usłyszał to cichnące, to potężniejące dźwięki wirującego bullroarera i głos szamana mówiącego: *jeszcze się spotkamy*.

Australijczycy wezwali śmigłowiec, który zabrał wszystkich ze szczytu góry. Jego musieli siłą odrywać od ciała martwej dziewczyny. Po kilku dniach przylecieli jej rodzice, ale nie potrafił spojrzeć im w oczy. Bo co miał powiedzieć? Że zawiódł ich i siebie? Że nie potrafił zadbać o najważniejszą istotę na świecie? Że jest dupkiem i przeprasza? Na ich miejscu, do końca życia nie wybaczyłby tej śmierci, bo to on namówił ich córkę na całoroczną włóczęgę po antypodach. Na szczęście, przyleciał też tata.

Drogę do Polski kojarzył jak przez mgłę. Tak naprawdę, nie chciał wracać, nie miał do czego.

Magnu

Rok 900

Wilk z niedźwiedziem gnębią to obejście
Żuraw zbiera coraz większe żniwo
Krwawi ranne starych bogów serce
Nowe idzie, podstępne, kąśliwe

Mija właśnie dziewięćset lat od narodzin Chrystusa. Wśród moich braci inaczej znaczymy kolejne zimy, ale relacja jest w języku paparów i to ludzie przez nich nauczani przeczytają te słowa. Wbijam więc nóż w materię czasu właśnie w ten sposób.

Wszystko co poniżej skreśliłem, jest prawdą. Wiele z tych wydarzeń widziałem na własne oczy, a to, czego nie dane mi było dotknąć i powąchać, zasłyszałem od godnych zaufania braci. Klnę się na bogów i jeśli łżę, niech spadnie na moją głowę Ich gniew.

Niektórzy uznają, że losy mego pana i przyjaciela, nie były godne sagi. Inni wciąż będą wątpić, czy wydarzyły się naprawdę. Taka jest ludzka natura i takimi zawistnymi i nieufnymi, stworzyli nas bracia: Odyn Wili i We. Osądźcie tę opowieść swoim rozumem. Proszę tylko, byście dotrwali do końca. To ważne, bowiem tylko wtedy dane wam będzie pojąć niebezpieczeństwo grożące całej ludzkości. A wierzajcie mi, musicie stoczyć straszny bój o przyszłość tego świata, waszego świata! Czas nie ma tu znaczenia.

W każdym pokoleniu są mężowie o dzielnych sercach, dźwigający na swoich barkach większe od innych ciężary. Mój pan wypełnił swój obowiązek, zatrzymał to, co mogło się rozlać na wszystkie światy Yggdrasila. Teraz wasza kolej.

Jeśli znaleźliście te zapiski, to taka była wola bogów i nastał czas na działanie. Nadchodzi mrok, a wy uzbrojeni w topór i tarczę, musicie stanąć mu na przeszkodzie. Choćbyście płakali ze strachu krwawymi łzami, nie odstąpcie nogi.

Mam tylko nadzieję, że mgła snuta przez wyznawców Jednoboga nie zniszczyła waszej prawdziwej wiary, wiary dziadów. Nie ufam ludziom niosącym krzyż, bowiem czyż to nie odwrócony miecz? Ich pragnienia nie znają granic, nigdy nie będą syci zdobyczy, pokłonów i władzy. Jakby byli istotami spoza tego świata i może tak jest w istocie? Słuchajcie więc.

Brałem udział w wyprawie, z której nie powinienem wrócić żywy. To znaczy wyruszyło na nią moje ciało i jedno oko, dlatego też przekażę słowa kogoś, kto był jedynie obserwatorem a nie pełnoprawnym członkiem drużyny. Niczym sokół, śledzący z góry krzątaninę w obejściu.

Wszyscy złożyli przysięgę w obliczu samego Odyna, że zachowają w sekrecie wydarzenia tamtych tygodni. Dla pewności władca bogów rzucił na nich klątwę i wspomnienia blakły, aż zniknęły przywracając spokój ducha. Tylko ja, z powodów znanych tylko jemu, nie przyrzekałem i jako jedyny, pamiętam. Wiele myślałem o tym – dlaczego? Czar zapomnienia, byłby przecież lekarstwem a nie trucizną. Jedyne co mi przyszło do głowy to to, iż Syn Ziemi chciał, bym spisał historię minionych wydarzeń i przekazał ją potomnym. Jako świadectwo, że Oni istnieli, istnieją i czekają. Nie porzucili nas, a jedynie dali wolną rękę ciekawi, gdzie nas to zaprowadzi. Pozostawili też oręż, zdolny odwrócić bieg wydarzeń. Albo dopełnić dzieła zniszczenia.

Z biegiem lat, żal zmienił się w odrętwienie, bo los każdego został utkany przez Norny już w dniu narodzin. Moje sploty również. Cóż więc pomoże zamartwianie się i jałowe pytanie – dlaczego właśnie ja?

Biały Chrystus i chrześcijanie rosną na całym świecie w siłę, dotarli nawet do nas, na wyspę wśród lodów. Nikt nie zdoła powstrzymać tego pochodu, a skoro nie można przeciwstawić się wielkiej fali, należy usunąć się w bok i poczekać aż wody opadną. Zawsze w końcu opadają.

Więc ja, Magnu, ostatni Strażnik zmiennokształtnego Ulthednara, powiernik świętego braektatu zwanego przez bogów „Naczyniem", ślę ci mężu znający mowę Rzymian wieści poprzez czas. Niech będą niczym przyłożony do zgasłej

dawno świecy płomień, lub blask dnia, oglądany przez ślepca po wielu latach błądzenia w ciemności. Czytając moje słowa zastanów się, czy wszystko co powiedziano ci o otaczającym świecie, jest kamieniem i żelazem a nie jeno wonnym, otumaniającym umysł i zmysły dymem. Wybór pozostawiam Tobie.

Młody uczeń, ledwie jeszcze podrostek przysiągł na pierścień, że wypełni tę wolę i schowa mój manuskrypt zgodnie z instrukcjami tak, by przez wieki żaden wścibski Grek czy plujący na wiarę ojców Norman nie dostał go w swoje ręce. A nie myśl, że nie spróbują. Sam byłem świadkiem przebywając z kupiecką misją na wyspie Irów, z jak wielką zaciekłością słudzy kościoła szukali włóczni Gae Bulg woja Cúchulainna. Łupieżczy napad moich ziomków, wydał mi się przy tym jeno gospodarską wizytą. Nie cofali się przed niczym, by posiąść moc tego artefaktu. Jak twierdzili, miał zawierać w sobie fragment włóczni przeznaczenia, tej samej, którą przebito bok Białego Chrystusa. Ale kto zrozumie prawdziwe intencje złotoustych paparów?

Rodziny tych wieśniaków, którzy mogli coś wiedzieć, rozrywano końmi, by wydobyć miejsce ukrycia przedmiotu mocy. Pomimo rzeki krwi, nie ustawano w poszukiwaniach, gdyż upór i konsekwencja kristmaðrów są ogromne. Za to należy im się wielki szacunek.

Tyle starczy by cię ostrzec i uczynić kroki cichymi.

Nic nie jest wieczne. Kiedyś, znużona własnym ciężarem fala opadnie. Wtedy, świat na nowo odkryje starych skandynawskich bogów. Oby dla nas ludzi, nie było już za późno, a Biały Chrystus nie zabił w człowieku prostej radości życia, zapełniając pustkę nieskończonym poczuciem winy.

I jeszcze jedna przestroga – mądrze użyj „Naczynia". Tylko wtedy, to Bogowie zwani Asami a nie Hel z jej sługami, powrócą na Ziemię. Þarnik þéreigiúrr*, nieznany przyjacielu. Bądź rozważny, bo dostajesz do ręki władzę nad światami. Jeśli, jak ja, uznasz się niegodnym tej potęgi, poszukaj męża o niezłomnym charakterze, którego słuchają drudzy a on nie czerpie z tego uciechy. Męża dbającego o swoje obejście, co nie zna strachu ni pychy. Daj mu to, coś znalazł. Pamiętaj jednak, wybierz roztropnie!

---

* St. nord. „Oby nie zabrakło męskiej mocy".

Podziękowania

Składam podziękowania mojej żonie Krysi, bowiem niełatwo żyje się z pisarzem, gdzie konkurencja licznych wymyślonych kobiet i postaci jest ogromna. Moim dzieciom, o które mogę się oprzeć, ilekroć tego potrzebuję – a zdarza się to i zapewne będzie zdarzało coraz częściej.

W tym konkretnym przypadku najgorętsze podziękowania składam jednak Róży Sokołowskiej wraz z warszawską gromadką kuzynów i pierwszych czytelników. Gdyby nie Wy, ta książka by nie powstała.

Dziękuję Izie Pisarek, która zrobiła wiele, by końcowa wersja powieści nie przypominała szkolnych notatek.

Ślę ukłony również w stronę czytelników moich wcześniejszych powieści. Świadomość, iż goszcząc w Waszej wyobraźni, sprawiam Wam frajdę, uskrzydla i daje „kopniaka" do pracy. Pisanie nabiera sensu.

Spis treści

Konrad 3
Magnu 15
Selekcja – pierwsze zadanie 18
Natalia 25
Krwawy poranek w Mosfellsdalur 31
Marcin 36
Jarl Sigmunt Olafsson 44
Karol 51
Osada Ydalir 66
Wiktoria 80
Zadanie piąte 87
Wyprawa do królestwa bogini Hel 92
Gabinet rektora Banasia 99
Helgardh 124
Lotnisko 130
Reykjavik 137
Rejs 157
Stöng 163

Dimmuborgir 210
Zamek Hel 221
Pole namiotowe nieopodal jeziora Myvatn 232
Dom 233
Nieopodal jeziora Myvatn 234
Podziękowania 242

Wyprawa po śmierć
Wydanie I
Płock 2020
ISBN 978-83-957499-1-9

Skład i łamanie: Izabela Pisarek / Skład z wyrazem
Copyright © for the text by Radosław Lewandowski

Cytaty z *Eddy poetyckiej* w przekładzie i opracowaniu Apolonii Załuskiej-Stromberg (Wrocław 1986)

RADOSŁAW LEWANDOWSKI

Autor tetralogii historycznej „Wikingowie” oraz serii SF „Yggdrasil”, która ukazała się drukiem w Polsce i USA.

Jeśli zaczytywaliście się w twórczość Dana Browna, kochaciewikingów i ich mitologię, musicie mieć „Wyprawę po śmierć” w swojej bibliotece.

W tej wielowątkowej powieści znajdziemy współczesny świat i współczesną Polskę, widzianą oczyma młodych Polaków. Przygody meandrują, niosąc okręty wyobraźni do Australii, USA, Wielkiej Brytanii, a nawet skandynawskiego Piekła – Helheimu!

Kremem, który spaja te warstwy, jest wyprawa studentów z Uniwersytetu Warszawskiego na Islandię. Wszystko w aurze tajemnicy, o której odkrycie ścigają się naukowcy z żołnierzami kościoła i agentami CIA.

Mało?! To na zakończenie...

ISBN 978-83-957499-1-9